



15. Wyprawa z Jaśkiem

Już od wielu dni razem z Jasiem idziemy na biegun. Dzisiaj nareszcie realne stały się szanse, że tam dotrzemy, ale w poprzednich dniach wielokrotnie, niemal codziennie ogarniało nas zwątpienie. Nie po raz pierwszy pokonuję tę trasę, ale nigdy przedtem nie natrafiałem na tyle trudności. Zupełnie jakby biegun chciał mi powiedzieć: po co prowadzisz tu tego chłopca, po co narażasz go na te wszystkie trudy, za mało się wcześniej nacierpiał i za mało go jeszcze czeka wyzwania, by normalnie żyć bez ręki i stopy? W każdej godzinie naszej wyprawy borykam się z odpowiedzią na to pytanie. Dlaczego i po co?

Idziemy z Jasiem na biegun. Chcemy dotrzeć na kraniec świata. Chcemy sprawdzić krańce naszych możliwości. Gdzie znaleźć wyzwania, które poddadzą nas silniejszej próbie?

Pokonaliśmy góry lodowe, pokonaliśmy szczeliny wypełnione wodą, zupełnie jakbyśmy przeszli siedem gór i siedem rzek. To, co robimy, wydaje się tak nierealne, jakbyśmy znaleźli się w świecie groźnych baśni czytanych w dzieciństwie.

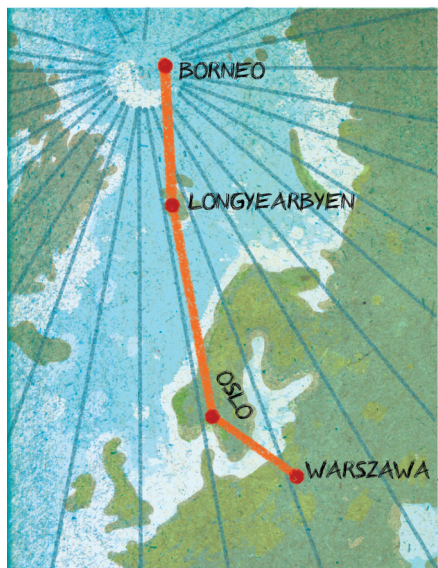
Na początku podróży spotkaliśmy się z niebywałą nawałnicą i załamaniem pogody. Wichura, śnieg i mróz uniemożliwiały opuszczenie chwiejących się w posadach budynków, nie było mowy o jeździe na saniach, nie mówiąc już o wzbiciu się w powietrze samolotem lub helikopterem. Byliśmy świadkami tego, jak w tych strasznych warunkach niedaleko nas ginął człowiek, mój przyjaciel, i nikt nie mógł mu pomóc. Długo mieliśmy nadzieję, że przeżyje, podtrzymywała ją nasza ufność w jego doświadczenie i siłę. Ale natura okazała się silniejsza, musieliśmy się pogodzić ze stratą przyjaciela. Czy mieliśmy odwołać wyprawę?



Pomimo tych przestróg, grożenia palcem przez przyrodę: „Dokąd wy idziecie, czy zdajecie sobie sprawę, na co się narażacie?”, wyruszyliśmy w białą przestrzeń. Tam daleko leży cel naszej wyprawy, koniec świata, biegun północny.

Życie jest wielką niewiadomą. Nadzieja i wiara każą iść do przodu, ale od czasu do czasu srogie strony życia sprowadzają śmiałków na ziemię, budzą wątpliwości, czy iść dalej, czy się zatrzymać. Trzeba pogodzić się ze stratą i bólem, nie tracić optymizmu i dalej wędrować.

Jasiek wiele w życiu przecierpiał. Stracił młodszego brata, który utopił się w jeziorze, kiedy cała rodzina wypoczywała na plaży. Niepojęte są wyroki losu. Trzeba się jednak z nimi uporać, bo nie zawsze mamy wpływ na to, co się dzieje wokół nas. Spłonęło mieszkanie, w którym Jaś mieszkał ze swoją rodziną. A potem, w czasie ulewy, ukrył się z kolegą przed deszczem w budynku trafostacji. Poraził go prąd, znalazł się w szpitalu, przeżył, ale stracił rękę i nogę. Nie stracił jednak ducha. Zdecydował się na udział w wyprawie na biegun, do której wytrwale przygotowywał się przez półtora roku, ćwicząc w domu i na dworze, niezależnie od pogody. Na ryzykowną wyprawę wyrazili zgodę jego odważni rodzice.



Dzisiaj idziemy na nartach już od wielu godzin. Jasiek cały czas do podpierania się używa tylko jednego kija, nie jest mu łatwo. Zaczynamy wierzyć, że dotrzemy do celu naszej wędrówki. W poprzednich dniach dręczyły nas wątpliwości i byliśmy bliscy załamania. Nareszcie ten niby-ład, po którym się poruszamy, przestał dryfować w niekorzystnym dla nas kierunku. Jesteśmy na gigantycznej krze, na kontynencie



zwanym Arktyką, ale co to za kontynent – nie jest od dołu przyczepiony do podłoża, stanowi jedną wielką bryłę lodu i w dodatku nieustannie porusza się to w tę, to w tamtą stronę. W poprzednich dniach z nadludzkim wysiłkiem pokonywaliśmy kilometr za kilometrem do miejsca uznawanego za biegun, a ta kra pod nami poruszała się w przeciwnym kierunku i w rezultacie prawie wcale nie zbliżaliśmy się do celu. Można się załamać! Malutkie, nic nieznaczące czarne kropeczki przedzierają się przez bryły lodu w jednym kierunku, a obojętna na ich wysiłek czapa lodowa płynie, a może okręca się w drugim. Wydaje się, że nasz cel ucieka przed nami, a to lodowy ład pod nartami odsuwa nas od niego. Jego położenie wyznaczamy, posługując się urządzeniem GPS, które wykorzystuje sygnał z satelity.

Teraz teren przed nami jest płaski. Żadnego życia, ani ptaka, ani niedźwiedzia... Nic. Tylko my, nasze wątłe życie i wciąż uciekający cel. Jeszcze kilka kilometrów.

Oczy są zmęczone. Od miesiąca sypiamy wtedy, kiedy nakazuje zegarek, ale cały czas towarzyszy nam jasne światło. Jest późna wiosna, na tej szerokości geograficznej słońce nie chowa się po drugiej stronie kuli ziemskiej, po prostu nie zachodzi. Noc polarna dawno minęła – wtedy przez wiele miesięcy było ciemno, bo ukryte słońce wcale nie wstawało.

W ciągu dnia i podczas marszu wpatrujemy się w niekończącą się biel zamrożonego aż po horyzont śniegu. Nie pomagają nawet okulary chroniące przed lśniącym światłem. Przed oczami migają mroczki czy literki?

Literki. Widzę białe strony książek, które kiedyś czytałem, przede wszystkim *Fridtjof, co z ciebie wyrośnie?*. Pamiętam opisywane przez Centkiewiczów sceny, kiedy ten mały przecież chłopiec, przepelniony ciekawością świata, wędrował samotnie najpierw wokół domu, poznając okolice, niejednokrotnie narażając się na niebezpieczeństwa. Z wiekiem nabierał sił. W czasie wielogodzinnych wypraw pieszych lub na nartach miewał różne przygody. Pewnego dnia zgubił się i nie wiedział, jak przed nocą wrócić do domu. Wraz z nim przeżywałem pierwszą samotną noc w lesie, w którym nocowały także groźne wilki i niedźwiedzie. Bałem się razem z nim, choć leżałem pod miękką kołdrą w ciepłym łóżku, a za ścianą chrapał tata. Marzyłem, żeby kiedyś naprawdę przeżyć taką noc i podobne przygody. Bardzo mi imponowały wyczyny małego Fridtjofa Nansena. Także to, że był taki dzielny, nawet się nie skrzywił, kiedy ojciec ostrym nożem rozcinał mu wargę, aby wyjąć haczyk od wędki. Niewprawnie zarzucana wędka spowodowała, że przywiązana do niej linka zawinęła kółko w powietrzu, a jej koniec z wielką prędkością uderzył chłopca w twarz, wbijając metal w jego ciało. Nansen umiał łowić ryby i mógł się sam wyżywić na dalekiej Północy, gdzie jest mnóstwo rzek pełnych pstrągów i łososi. Ja też nauczyłem się łowić ryby, a nawet przekonałem się, żeby je jeść pomimo uciążliwych ości. Tak jak on jeździłem na nartach i robiłem wyprawy w pagórkowate tereny

wokół Połczyna. Potem czytałem o pionierskich wyprawach w nieznanne, w obszary, na których nigdy nie stanęła stopa człowieka. Razem z bohaterami książek przenosiłem się w polarne przestrzenie, razem z nimi przeżywałem trudy i dokonywałem rzeczy niemożliwych. Naśladowałem ich na naszych połczyńskich wzniesieniach i jeziorach. Czasem robiłem rzeczy przekraczające dopuszczalne przez rodziców granice zachowania. Pływałem na krach i wyobrażałem sobie, że pokonuję szczeliny na lodowcach bieguna północnego. Odpychałem się kijem i w ten sposób powoli poruszałem się wzdłuż brzegu jeziora. Starłem się przeskakiwać z jednej kry na drugą. Wtedy nauczyłem się, że mokry lód jest bardzo śliski, a kra niestabilna, niebezpiecznie się przechyla, kiedy zejdzie się ze środka i stanie na jej brzegu.

Kiedyś w trakcie jednej ze swoich tajemnych wypraw na jezioro źle stanąłem na krze, a ona, obciążona tylko z jednej strony, przechyliła się niebezpiecznie i zanim zdążyłem cokolwiek zrobić, podeprzeć się kijem lub przeskoczyć na środek, uniosła się prawie pionowo, a ja ześlizgnąłem się do wody. Najpierw zanurzyłem się razem z głową i pod wpływem nagłego zimna zabrakło mi tchu. Gwałtownie bijąc rękami wodę, starałem się wydostać na powierzchnię. Kiedy udało mi się wypłynąć, zacząłem szukać oparcia. Podpłynąłem do kry, którą odepchnąłem nogami, kiedy spadałem, i teraz próbowałem się na nią wdrapać. Była za cienka, za lekka, przechylała się i nie mogła dać mi oparcia. Puściłem ją i skierowałem się do brzegu. Wyczułem grunt pod nogami, na szczęście nie byłem daleko od brzegu. Człowiek zadziwiająco krótko może przeżyć w wodzie o niskiej temperaturze. Zaledwie kilka minut lub troszkę dłużej, jeżeli bardzo wierzy, że zaraz się uratuje lub zostanie uratowany.

Czy mogłem liczyć na pomoc?

Jak uratować dziecko na jeziorze, skoro ukryło się za suchymi trzcinnami, żeby nikt nie widział, że robi rzeczy niedozwolone? A nawet jeśli ktoś je dostrzeże, to zanim dopłynie łódką... Na szczęście kra zrzuciła

mnie blisko brzegu. Mimo wszystko – byłem rozsądnym chłopcem. Chciałem pływać na krach, ale nie zamierzałem narażać życia na niebezpieczeństwo. To wielka różnica: rzucać się na coś z zamkniętymi oczami, byle zaimponować innym, a osiągać rzeczy, zdawałoby się, nieosiągalne w najbardziej bezpieczny sposób. Zawsze starałem się przewidywać niebezpieczeństwa i przygotowywać do nich tak, aby im zapobiegać lub sobie z nimi poradzić. Oczywiście wszystkiego nie da się przewidzieć. Kiedy mokry wracałem do domu, zastanawiałem się, co będzie, jak o moich wyczynach dowiedzą się rodzice.

Lepiej, żeby się nie dowiedzieli. Zakradłem się po cichu do łazienki i suszarką do włosów wysuszyłem część ubrań, a część namoczyłem, niby do prania. Wszystko się dobrze skończyło, a ja nabrałem szacunku do lodu i do swojej ograniczonej zdolności przewidywania. Stałem się ostrożniejszy, lecz nie rezygnowałem z zabaw i poznawania praw rządzących światem. I dalej czytałem książki.

Taki Fridtjof Nansen na przykład – kiedy po przejściu Grenlandii dotarł na zachodnie wybrzeże, z gałęzi i skór zbudował kajak, którym dotarł do eskimoskiej wioski.

Potem, na podstawie historii dowodzonego przez porucznika Delonga statku Jeanette, który został opuszczony przez załogę i którego szczątki rybacy znaleźli u wybrzeża Grenlandii kilka lat później (co sugerowało, że wrak dryfował w lodzie pomiędzy Syberią i Grenlandią, i być może przedryfował w okolicy bieguna północnego), Nansen doszedł do

wniosku, że istnieje dryf transpolarny, prowadzący przez Ocean Arktyczny. Postanowił z tym prądem dotrzeć do bieguna północnego, specjalnie w tym celu zbudowanym statkiem. Wymyślił, że musi zbudować statek pękaty jak beczułka i że zimą, kiedy woda będzie zamarzać, to góry lodowe zamiast zgniatać, wyniosą go niczym korek do góry. I jak postanowił, tak zrobił. Zbudował statek według swojego pomysłu, pomimo że wszyscy doświadczeni polarnicy i wielorybnicy pływający po lodowatych morzach odradzali mu ten pomysł, wyśmiewali się z niego, a życzliwi przestrzegali przed niechybną śmiercią. Tymczasem Nansen przezimował bezpiecznie w zamarzniętym morzu i w następnym roku, kiedy słońce znowu pojawiło się nad horyzontem, wyruszył dalej w Nieznane. Jego statek nazywał się Fram, co znaczy „naprzód”. Słowo to stało się dla mnie życiowym drogowskazem. Naprzód, nie załamuj się, nie wycofuj! Oglądałem ten statek potem w muzeum w Oslo, gdzie stoi obok tratwy Kon-Tiki.



statek Fram

Sytuacja jest beznadziejna? Może tylko taka się wydaje? Na pewno jest jakiś sposób, żeby dojść do celu, trzeba cierpliwości, uporu i pomysowości. Nie tędy, to owędy. Nie tak, to siak. Nie kijem go, to pałką. Statek może być wbrew wszystkim budowniczym okrągły i choć mówią: „To na pewno się nie uda”, ktoś przecież musi spróbować. Jeśli okaże się, że się pomylił, to spróbuje jeszcze raz, inaczej. Równie dobrze może się jednak okazać, że miał dobrą intuicję... Nie zawsze większość ma rację. Nie zawsze trzeba słuchać tych, którzy mówią: „Nie dasz rady. Nie uda się. Po co ci to”. Czasem trzeba iść za swoimi marzeniami, realizować to, do czego prowadzi instynkt, do czego w duszy gra...

Jasiek był moim zwierciadłem, unaocznieniem tego, co mogło być moim losem.

Kiedy patrzyłem na jego rękę, myślałem o tym, że gdyby nie upór moich rodziców, dzisiaj i ja miałbym kikut zamiast dłoni i palców, kończący się mniej więcej w tym samym miejscu.

Kim byłbym dzisiaj, gdybym nie miał ręki? Czy realizowałbym swoje marzenia? Czy miałbym w ogóle marzenia, gdyby nie samotne miesiące spędzone poza domem, w sanatoriach? Tam nauczyłem się radzić sobie z samotnością, z tęsknotą za domem, rodzicami i siostrą, uciekając w wymyślony świat. Zapominałem o smutkach i tęsknocie, zatapiając się w książkach. Opisyane w nich przygody dostarczały pożywki mojej wyobraźni. Niejednokrotnie przestawałem rozróżniać, co się dzieje naprawdę, a co w mojej głowie.

To właśnie w sanatoriach nauczyłem się pogody ducha, współżycia z różnymi ludźmi. Przede wszystkim jednak nauczyłem się radzić sobie z najtrudniejszymi uczuciami: z lękiem i samotnością. Wiedziałem, że wrócę do domu, i odpływałem w wyobraźni w dobre, przyjazne światy, kiedy było mi źle. Byłem przekonany, że zawsze wrócę do domu, nawet jeśli w tej chwili jest mi bardzo ciężko.

Odpywałem w swój przyjazny świat wyobraźni. Robiłem, co chciałem, mogłem nawet odwiedzać swój dom daleko w Połczynie, rozmawiać ze wszystkimi, siedzieć przy stole z rodziną. Jeśli przyszła mi ochota, żeglowałem po oceanach, odlatywałem w kosmos lub wspinałem się na wysokie góry. Pomagały mi w tym książki. Gdyby nie one, gdyby nie wypełniły mnie obrazami i informacjami, skąd mógłbym wiedzieć, jak wyglądają obce kraje i co można robić w dalekim świecie? O czym myśleć, o czym marzyć?

Czasem zastanawiałem się, jak Jasio przeżył straszne chwile, gdy został sam w szpitalu, kiedy dowiedział się, że stracił nogę i rękę. Był już kilkunastoletnim chłopcem. Ja miałem pięć lat, kiedy podejmowano decyzję o ucięciu mojej niegojącej się ręki. Też byłem przerażony.

Coś pchało mnie, by odbyć z Jasiem podróż ponad siły zdrowego człowieka.

Mnie się upiekło, mam sprawną rękę. A gdybym nie miał, czy podróżowałbym jak teraz, czy spełniałbym swoje marzenia? Czy ktoś by mi pomógł, zrozumiał moją potrzebę podróży, pokonywania słabości i badania granic własnej wytrzymałości?

Czy w ogóle byłbym tym, kim jestem, gdybym stracił rękę? Czy byłbym takim człowiekiem, gdybym nigdy jej nie złamał i nie doświadczył wszystkich ciężkich przeżyć, na jakie byłem narażony w okresie leczenia?

Trudno czasem zrozumieć, co i dlaczego się dzieje, co jest złe, a co dobre.

Chciałem wyzwolić Jasia z jego poczucia niepełnosprawności – było to troszkę tak, jakbym był mu coś winien, że jego ręki i nogi lekarze nie uratowali. Mogłem go zarazić swoją potrzebą badania granic własnych możliwości i pozwolić mu na udowodnienie sobie, że może zrobić wszystko, czego zapragnie, o czym zamarzy. Niech doświadczy, że silniejsze ograniczenia tkwią w naszym umyśle, niż w naszym ciele. Wspólna wyprawa to było właśnie przekraczanie tych barier – chłopiec,

który stracił rękę i nogę, i wydawało by się, że stracił szansę na normalne życie, zdobywa biegun północny, a potem południowy... Niemożliwe, nie do zrobienia. Niemożliwe?

Mamy nadzieję, że nasza wspólna wyprawa dodała wiary innym ludziom, nie tylko niepełnosprawnym, ale tym, którzy w życiu stracili nadzieję, a także ich rodzinom. Zachęciła ich, żeby się nie poddawali, szli do przodu, sięgali po to, czego pragną. Niech chodzą do szkoły, wykorzystują w pełni swoje uzdolnienia i możliwości. Niech cieszą się urodą świata, niech czynią swoje życie wspaniałym.